

Opowieść Stanisławy Życińskiej lat 23 sanitariuszki Szpitala Polowego 202 6 Armii Wojska Polskiego z wojny polsko-bolszewickiej 1919-1921

Atmosfera jaka panowała wśród polskiego społeczeństwa w przełomowym dla nas 1918 r. spowodowała, że postanowiłam i ja wnieść swój mały wkład w odrodzenie kraju, tym bardziej że na wszystkich naszych granicach trwała wojna i nic jeszcze ostatecznie nie było przesądzone.

Zdecydowałam zgłosić się na ochotnika do Szpitala Wojskowego w Lublinie jako wolontariuszka, gdzie zostałam przyjęta i wysłana na kursy sanitarne. Po ukończeniu szkolenia jako „siostra na służbie w Polskim Czerwonym Krzyżu”- zostałam przyjęta 23 stycznia 1919 r. do pracy w Szpitalu Okręgowym Wojska Polskiego w Lublinie.

Po odbyciu półrocznej praktyki w szpitalu zostałam skierowana 2 lipca 1919 r. do Szpitala Polowego 202, który miał wejść w skład wojsk działających na froncie ukraińskim na Podolu. W dniu 4 lipca 1919 r. nastąpił wyjazd szpitala Polowego 202 koleją z Lublina na front.

Na stacji żegnała odjeżdżających grupa oficerów szefa służby sanitarnej oraz rodziny.

Podróż do Lwowa trwała 3 dni. Staliśmy pod Lwowem kilka dni w grupie pociągów sanitarnych, które zjechały z różnych stron Polski i były przeznaczone dla jednostek wojskowych walczących na froncie w odległości około 200 km na wschód od Lwowa. Staliśmy niedaleko lotniska wojskowego i obserwowaliśmy duży ruch samolotów nad naszymi głowami, co stanowiło dla nas najpierw ciekawostkę, a później udręczenie ciągłym hukiem motorów.

Po kilku dniach pociąg ruszył i nastąpiła krótka jazda do stacji Niżec. Nastąpił pierwszy wyładunek szpitala oraz zakwaterowanie w klasztorze bez rozwijania spakowanego sprzętu i bez wiadomości co dalej z nami. Po 20-stu dniach postoju znów załadunek na kolej i dalsza jazda na wschód do stacji Buczac. Stoimy 3 dni w wagonach, zwiedzamy miasto w towarzystwie naszych wojskowych lekarzy. Siostry nie mają jeszcze mundurów, chodzimy we własnych ubraniach. Po kilku dniach postoju ruszamy koleją na południe by znów zatrzymać się na dużej stacji w Czortkowie. Jadąc koleją z ciekawością obserwujemy nowy dla nas krajobraz. Teren pokryty jest niewielkimi ale ładnymi wzgórzami, dużo lasów, pola obsiane „dziwną dla nas kukurydzą”, dużo sadów. Mijamy sporo niewielkich rzek i strumieni. Krajobraz wydaje się bardziej urozmaicony niż nasz na nizinach.

Patrzemy również z niepokojem na sprawy związane z wojną. Za oknem naszego wagonu widzimy na mijanych stacjach duże skupiska wojska. Widać wyraźnie żołnierzy w złym stanie ubrania i obuwia mających brudne i podarte mundury. Są to oddziały wycofane na odpoczynek z linii frontu oraz wagony pełne sprzętu i żołnierzy w dobrej formie jadące na front. Ten natłok wojska i różne zachowania żołnierzy i oddziałów sprawiało wrażenie chaosu, braku organizacji i dyscypliny, co źle oddziaływało na nasze samopoczucie. Mówię tu o opinii naszych dziewczyn, które nie znały ani reguł, ani zwyczajów wojny, a ich „odkrycia” były związane z wyobraźnią jaką miała każda z tych młodych osób. Również i ja miałam podobne zdanie. Niepokój nasz budziła również miesięczna tułaczka w wagonach bez podania miejsca i celu podróży naszego szpitala.

Następną sprawą, która zaczęła być uciążliwa to problemy związane z wyżywieniem. Chodziło o ciepłą strawę oraz higienę osobistą. Byliśmy w drodze prawie miesiąc bez gorącego jedła i bez możliwości kąpieli. Po kilku dniach postoju w Czortkowie znów ruszyliśmy na południe i po krótkiej podróży dotarliśmy nareszcie do celu.

Przywieźli nas do małego miasta Jezierzany, gdzie objęliśmy szpital po załodze odchodzącej na odpoczynek.

Jezierzany to małe miasto na trasie Tarnopol - Zaleszczyki, 20 km od granicy z Rumunią, którą wytyczała rzeka Dniestr. Było to miasto zamieszkałe głównie przez ludność żydowską z niewielką ilością ludności polskiej i ukraińskiej. Wokół miasta było kilka dworów ziemian polskich, na wsiach głównie ludność ukraińska niechętna Polakom. Szpital w Jezierzanach nie okazał się szpitalem polowym na linii frontu, lecz szpitalem stacjonarnym zajęтым na potrzeby wojska do którego zwożono etapowo rannych i chorych.

W drugiej połowie 1919 r. na froncie ukraińskim na Podolu nie było otwartej wojny, ale toczyły się stałe starcia zbrojne i walki pozycyjne, które powodowały niewielki napływ rannych żołnierzy, natomiast nieszczęściem tego czasu były choroby zakaźne jak tyfus płamisty (dur brzuszny) i krwawa dezynteria (czerwonka), które dziesiątkowały żołnierzy szczególnie na linii frontu w okopach, gdzie były złe warunki bytowania. Choroby te stanowiły również duży problem dla szpitali wojskowych z uwagi na długi okres leczenia ciężko chorych oraz dużą śmiertelność.

Przejęcie szpitala przez naszą załogę było sprawne z uwagi na to, że lekarze i wojskowa administracja miała duże doświadczenie frontowe.

Budynek szpitala był murowany, piętrowy po dawnej szkole, adaptowany do potrzeb szpitala wojskowego. Mimo przeróbki nie spełniał warunków niezbędnych do utrzymania standardów higienicznych.

Szpital był przepełniony chorymi zakaźnymi głównie na tyfus płamisty, dezynterie i świerzb.

Niewielu było z ranami odniesionymi w walkach na froncie. Szpital w różnych okresach leczył około 100 chorych, natomiast nasza ekipa przejęła w opiekę 76 rannych i chorych. Szpital Polowy 202 przejmując obowiązki w Jezierzanach był w okresie organizacji i nie miał jeszcze pełnego stanu etatowego. W pierwszym miesiącu działania posiadał 12 oficerów-lekarzy, 10 sanitariuszek, 12 żołnierzy obsługi sanitarnej oraz grupę oficerów i żołnierzy zatrudnionych w administracji i służbie taborowej szpitala.

Na etacie szpitala było 5 koni wierzchowych, 10 koni taborowych oraz bryczki i wozy konne do przewozu ludzi i sprzętu.

Pierwsze miesiące naszego pobytu to usprawnienia organizacyjne i uzupełnienia kadrowe w załodze i sprzęcie. Kadre lekarską stanowili oficerowie polscy wywodzący się z armii państw zaborczych o różnych wyznaniach jak: katolicy, ewangelicy, prawosławni oraz żydzi. We wrześniu szpital otrzymał uzupełnienie kadr pielęgniarских w osobach 4 pań, które miały duże doświadczenie w pracy polowej na froncie. Otrzymały niezwłocznie przydział na drugi oddział zakaźny znajdujący się w budynku przy stacji kolejowej, gdzie podjęły swoje obowiązki.

Zmiany dotyczyły również kadry oficerskiej i lekarskiej oraz kierownictwa szpitala. W lipcu 1919 r. nowym komendantem szpitala został mjr Henryk Krogulski - poznaniak, którego skierowano do nas razem z kilkoma oficerami z Armii Generała Hallera.

Podczas przejmowania obowiązków w szpitalu wojskowym w Jezierzanach natychmiast zorientowano się, że jednostka nasza nie będzie pełniła roli szpitala polowego tylko jest szpitalem zbiorczym na zapleczu i pełni rolę szpitala zakaźnego, do którego nie byliśmy przygotowani pod względem ilości załogi, wyposażenia oraz wyspecjalizowanej kadry pielęgniarskiej.

Lekarze wojskowi i administracja wojskowa podjęła obowiązki jak zwykle bez problemu, natomiast młody personel pielęgniarский, który nie miał doświadczenia i specjalistycznego przygotowania doznał szoku w kontakcie w chorymi.

Przy ciągłym dopływie chorych na koniec lipca 1919 r. na stanie mieliśmy już 105 osób, w tym 78 ciężko chorych na tyfus i dezynterię.

Dyżury nocne rozłożone były na wszystkie siostry, a każda z nich obejmowała oprócz swych obowiązków dziennych również dyżur nocny, który przypadał co trzecią dobę. Praca siostry w czasie nocnych dyżurów była ciężka i odpowiedzialna, nie dająca jednak pełnej satysfakcji, że się ją dobrze wypełniało. Nie byliśmy w stanie przynieść ulgę w cierpieniu wszystkim potrzebującym.

Sale były duże, chorzy na tyfus w okresie początkowym mieli wysoką gorączkę, majaczyli, zrywali się z łóżek, nawet bezwiednie uciekali ze szpitala, krew uderzała im z nosa - ich stan był ciężki. Chorzy na dezynterię byli wychudzeni, krańcowo osłabieni, mdleli z wycieńczenia, wyglądali jak „trupie szkielety”, często bez czucia wypróżniali się do łóżka, leżeli w mokrej od potu pościeli, pojemniki na odchody stale się zapełniały- wszędzie unosił się odór potu, moczu i fekaliiów. Nad tym wszystkim unosił się zapach żrącego płynu odkażającego o nazwie „karbolineum”.

Wszystkie te problemy dalekie były od teorii prezentowanej na szkoleniach, które dziewczęta odbyły w zaciszu wojskowych szpitali w głębi kraju, ja byłam najlepiej przygotowana do zabiegów chirurgicznych, w których tu nie uczestniczyłam.

Praca dzienna szpitala przebiegała sprawnie, bo w opiece nad chorymi uczestniczył cały zespół ludzi: lekarze, pielęgniarki oraz żołnierze - sanitariusze, natomiast na dyżurze nocnym młoda dziewczyna musiała radzić sobie ze wszystkimi problemami- również ze śmiercią, która często przychodziła nocą. Niewiele mogli pomóc dyżurni żołnierze - sanitariusze, ponieważ ich obowiązki były rozległe i czasochłonne. Po dyżurze nocnym byliśmy wyczerpane, często znerwicowane. Nawet po kąpieli każda z nas myślała, że czuć od niej odór odchodów lub płynu odkażającego, który przez całą noc dyżuru przenikał do całego ciała. Przy tak ciężkiej i odpowiedzialnej pracy rzadko zdarzała się możliwość wyjścia na zewnątrz by odetchnąć świeżym powietrzem i choć trochę odpocząć.

Gdy szpital zapełniał się chorymi, przyjeżdżał tzw. „pociąg zakaźny” i zabierał ciężko chorych głównie na tyfus i dezynterie. W lipcu 1919 r. zabrał 78 chorych, w sierpniu 85, a we wrześniu 90 chorych.

Można było wtedy uporządkować trochę szpital, nieco lżejsze były obowiązki, choć nie trwało to długo, bo znów dowozili nowych chorych i problemy z ich opieką dalej narastały. Załoga szpitala była rozlokowana w prywatnych domach. Komendant mieszkał blisko szpitala w domu zamożnego aptekarza, reszta w różnych częściach miasta głównie w rodzinach polskich lub żydowskich. Ja z koleżanką Anielą dostałam przydział pokoju w domu bogatego Żyda, który miał córki w naszym wieku i był życzliwie do nas nastawiony. Warunki bytowania były znośne. Miasteczka galicyjskie były dobrze zagospodarowane, obywatele z wyglądu zadbani a Żydzi stanowili olbrzymią większość ich mieszkańców.

Od pierwszych dni naszej pracy dało się zauważyć, że jesteśmy obserwowane przez starszyznę tzn. lekarzy i oficerów w zakresie podejścia do pracy, wypełniania obowiązków jak również naszego zachowania. Najpierw spokojnie zwracano uwagę na nasze potknięcia, później wymagano wypełniania obowiązków w bardziej zdecydowany sposób, gdy to nie pomagało były nawet twarde reakcje z groźbą usunięcia ze służby. Wojskowa kadra lekarska pracująca w przeważającej większości przypadków w warunkach wojennych była przyzwyczajona do wsparcia pielęgniarek z doświadczeniem i obyciem w ekstremalnych warunkach. Siostry służące w naszym szpitalu polowym były bardzo młode, nieobeznane z realiami frontowymi i zwyczajnie przerażone panującymi warunkami. Twarde stanowisko oficerskiej kadry lekarskiej było podyktowane koniecznością szybkiego „wejścia w rytm pracy szpitala przyfrontowego”.

Z czasem atmosfera w załodze znacznie się poprawiła, sprawność i wydajność pracy była coraz lepsza, co wyrażało się też w życzliwym stosunku do nas kadry dowódczej, dbaniu o nasz wypoczynek po pracy, jak również o nasz byt i bezpieczeństwo.

Po niedługim czasie, gdy praca w szpitalu uległa poprawie i nabrała normalnego rytmu Komendant szpitala zezwolił, aby w okresach wolnych od obowiązków można było organizować małe wycieczki po najbliższych okolicach własnym transportem tzn. bryczkami lub wierzchem konno. Wyjeżdżaliśmy do lasu na grzyby czy jagody pod opieką uzbrojonego żołnierza.

Komendant wraz ze starszą bywali zapraszani do domów zamożnych obywateli polskich lub zaprzyjaźnionych dworów ziemiańskich. Często zabierali ze sobą na te wyjazdy również nasze siostry sanitariuszki.

Również ja uczestniczyłam w tych wyjazdach, które były przez nas przeżywane, ponieważ odbywały się często w podniosłej i niezwykle przyjaznej atmosferze. Uczestniczyłam w bardzo ciekawym dla mnie przyjęciu, gdzie Pop z żoną zaprosił na uroczysty obiad przedstawicieli szpitala. Komendant zabrał ze sobą 5-ciu oficerów- lekarzy i 3 siostry. Mimo wojny było wystawne przyjęcie, a na koniec pojawił się deser i pyszne lody. Żona Popa okazała się wykształconą osobą i dobrze mówiła po polsku.

Pod koniec sierpnia 1919 r. odbyliśmy całodniową wycieczkę do Kamieńca Podolskiego, gdzie zwiedzaliśmy miasto - historyczną twierdzę znaną z powieści Henryka Sienkiewicza.

Zorganizowano nawet dla potrzeb załogi szpitala park treningowy dla koni wierzchowych, w którym odbywano naukę jazdy konnej, gdzie również siostry mogły uczyć się jazdy pod okiem wytrawnego jeźdźcy, wachmistrza kawalerii, który w tym czasie pełnił funkcję oficera finansowego szpitala. Ja chętnie korzystałam z tych treningów i szybko nauczyłam się jazdy konnej.

Przy późniejszych wycieczkach zawsze wybierałam jazdę wierzchem na koniu, a nie bryczką lub powozem.

Nieraz po ciężkim dniu prosiłam komendanta o konia na przejażdżkę, aby odetchnąć od tej "czarnej roboty" i nigdy nie odmówił mej prośbie.

Były i trudne chwile załamania, gdy jedna z sióstr nie wytrzymała rygoru i trudów pracy i chciała odejść ze służby wojskowej, choć później wycofała się i została do końca wojny.

Mocno przeżywaliśmy ciężką chorobę jednej z sióstr, która zapadła na tyfus już w sierpniu. Dzięki zabiegom lekarzy i opiece personelu po półtora miesięcznej chorobie zaczęła powoli dochodzić do siebie i wydobrzała. Następna siostra zachorowała na tyfus we wrześniu, lecz u niej sytuacja się skomplikowała, ponieważ miała chore serce. Choroba trwała długo i wyeliminowała ją ze służby w wojsku. Odesłano ją do domu jako inwalidę wojennego.

Przeżyliśmy wspólnie również wzruszającą historię. W naszym szpitalu leżał ranny młody żołnierz, który zakochał się w jednej z naszych sióstr. Upewniwszy się, że sanitariuszka odwzajemnia jego uczucia wręczył jej zaręczynowy pierścionek (szczególnie cenny, gdyż stanowiący rodzinną pamiątkę). Poprosił ją o rękę wyrażając nadzieję, że będą mogli pobrać się natychmiast po jego wyzdrowieniu. Niestety na skutek odniesionych ran, żołnierz zmarł. Do szpitala przybyli jego rodzice aby odebrać ciało. Nalegali aby siostra zatrzymała pierścionek otrzymany od ich syna. Siostra jednak zdecydowała, że nie ma prawa do zachowania tak cennego przedmiotu dla jego rodziny.

Dużą trudnością dla młodych dziewcząt było pokonanie tęsknoty za domem rodzinnym i bliskimi osobami. Jediną możliwością połączenia z rodziną były listy, które w warunkach stanu wojny były nieregularne, a w niektórych okresach nie dochodziły do odbiorcy. Wrażliwe osoby cierpiały z tego powodu i były załamane. Niektóre osoby z naszego otoczenia potrafiły być nieczułe i drwiły z ich przygnębienia i smutku. Było mi żal

tych wrażliwych dziewcząt i wyrażałam ostro swoje niezadowolenie z tak niestosownego zachowania.

Na początku sierpnia 1919 r. wezwał mnie komendant i oświadczył, że mianuje mnie starszą siostrą. Przekazał mi nowe obowiązki z tym związane. Stwierdził również, że będę w najbliższym czasie musiała przejść szkolenie w niektórych oddziałach by zapoznać się z pracą organizacyjną naszej jednostki. Byłam tą decyzją zaskoczona i trochę przerażona. Reakcja komendanta była prosta, z rozkazami w wojsku nie ma dyskusji - mam iść do swoich obowiązków i realizować powierzone zadania. Potraktowano mnie obcesowo i ostro jak to się robi w wojsku.

Niedługo po tym zorientowałam się, że najtrudniejszą sprawą było koordynowanie pracy personelu pielęgniarskiego, którego zostałam przełożoną. Pierwszy miesiąc był dla mnie trudny, potem sprawy zaczęły się korzystnie układać - niewątpliwie przy pomocy życzliwych mi ludzi.

Siostry należące do personelu Szpitala Polowego 202 otrzymywały żołd za czas służby w wojsku polskim.

Wypłaty pensji odbywały się co dekadę (co 10 dni) przez Wydział Gospodarczy Szpitala i były zawsze odnotowane w legitymacji osobistej, stanowiącej jednocześnie książkę obrachunkową każdego żołnierza, do której wpisywano: pensję, diety, przebieg służby, przeniesienia do oddziału lub lazaretu oraz wykaz otrzymywanych świadczeń w naturze.

W roku 1919 i 1920 pensja wynosiła 250 marek polskich za 10 dni tj. 750 marek na miesiąc, zaś w 1921 roku 375 marek, tj. 1125 marek na miesiąc. Była to niewielka suma, wystarczała na drobne wydatki, a oszczędzać nie bardzo się opłacało, bo pieniądź w tym okresie tracił na wartości. Ponieważ wojna wisiała nad nami, podpowiedziano nam aby zabezpieczyć się w dobre obuwie, bo nie wiadomo jakie wyposażenie mundurowe na zimę będzie przydzielone kobiecej służbie sanitarnej.

Pod koniec września 1919 roku pojechaliśmy bryczką naszego sąsiada do Borszczowa, miasta o handlowych tradycjach, położonego 15 km od Jezierzan, gdzie zamówiliśmy u Żyda - najlepszego szewca w mieście piękne i solidne buty z cholewkami na niewielkich obcasach. Szewc odebrał miarę, pokazał surowiec, z którego zrobi buty, ustalił cenę i kazał przyjechać za 7 dni. Rzeczywiście buty były solidne, wygodne i dobrze nam służyły na wojennej drodze życia.

W październiku otrzymaliśmy długo oczekiwane mundury, składały się one z marynarki typu wojskowego, spódnicy granatowej, kurtki cieplej koloru stalowego, czapki legionowej z orzełkiem oraz pasa oficerskiego i pary trzewików wojskowych.

Po przeróbkach krawieckich i dopasowaniu do figury wyglądało to nieźle. Byliśmy szczęśliwe i dumne, bowiem założenie munduru było dla nas jak pasowanie na żołnierza Wojska Polskiego. Uroczystości oficjalnych nie było, choć dla każdej z nas fakt ten był dużym przeżyciem.

Im dłużej byliśmy w Jezierzanach, tym częściej zdarzały się przypadki nachodzenia nas przez cywilną ludność z miasta, a szczególnie ze wsi z prośbami o pomoc w chorobach. Prosilili o założenie opatrunku bo na przykład koń kopnął gospodarza, o jodynę na ranę, o lekarstwa itp. Przynosili jajka, mleko, masło, kury jako zapłatę za nasze usługi. Jeżeli były to złożone sprawy chorobowe to odsyłałyśmy do lekarzy na dyżurze, mniejsze sprawy załatwialiśmy same.

Nie robiłyśmy tego wszystkim zgłaszającym się, tylko po selekcji sporadycznie udzielając pomocy głównie ludziom starym lub wyglądającym na ubogich.

I tak przy okazji rozwijały się dobrosąsiedzkie stosunki między Wojskiem Polskim a ludnością tubylczą - głównie biedotą żydowską i ukraińską - myślę, że z wzajemną korzyścią dla obu stron.

W okolicach Kamieńca Podolskiego organizowała się Armia Ukraińska z oddziałów, które przechodziły na stronę polską pod rozkazy generała Petlury - dowódcy wojsk Republiki Ukrainy. Celem strony polskiej było poparcie sił tworzących niepodległą Ukrainę. Dla umocnienia formujących się oddziałów Ukraińcy uzyskali od władz polskich zgodę na werbunek ochotników w obozach jenieckich żołnierzy ukraińskich, jak również w obozach, gdzie przebywali internowani żołnierze rosyjscy z Korpusu gen. Bredowa.

Wśród przybyłych do Kamieńca ochotników z Korpusu gen. Bredowa wybuchła epidemia tyfusu plamistego. Ponieważ armia ukraińska miała wejść w skład sił polskich w najbliższej wojnie postanowiono zająć się chorymi i rozesłano ich do najbliższych szpitali wojskowych. Duża grupa chorych na tyfus Ukraińców trafiła do Jezierzan pod opiekę Szpitala Polowego 202, co skomplikowało i tak trudną pracę szpitala.

Przez pół roku służby w wojsku mój organizm odpierał szczęśliwie wszystkie choroby, które stale wisiały nad nami, jednak w końcu grudnia dopadł mnie tyfus i zważył z nóg. Zaraziłam się tyfusem w okresie bałaganu związanego z napływem dużych grup chorych żołnierzy ukraińskich z obozów jenieckich nazywanych później „Akcją Bredowa”.

Z każdym dniem gorączka rosła, stan mój stale się pogarszał, przy wysokiej temperaturze traciłam świadomość i poczucie czasu. Mało jadłam, wychudłam, obcięto mi włosy do gołej skóry. Otrzymałam pomoc ze strony szpitala w postaci osobnego pokoju, nadzoru lekarskiego i pielęgniarstwa ale w związku z ciężkim stanem nie bardzo pamiętam tamte wydarzenia.

W trakcie mojej choroby przyjechał pociąg sanitarny i ewakuował wszystkich chorych zakażonych i przewiózł ich dalej od linii frontu.

Nie wyjaśniono mi nigdy, dlaczego wywieziono mnie do Szpitala w Czortkowie, zamiast zostawić na miejscu wśród swoich. Czułam za to do nich wielki żal, że w tak krytycznym stanie choroby porzucili mnie i wysłali do obcych.

Z końcem stycznia 1920 r. odwiedzili mnie w czasie choroby przedstawiciele Szpitala 202 w osobach: lekarza kapitana Pompera oraz sanitariuszki Neli, mojej koleżanki, ale stan mojego zdrowia był nadal niepewny. W czasie tej wizyty dowiedziałam się od dr Pompera, że zawiadomił listownie moją rodzinę w Lublinie o mojej chorobie i stanie zdrowia oraz o liście od mojego brata Wacława Życińskiego z podziękowaniami za przekazane wiadomości.

Byłam bardzo osłabiona, nie byłam w stanie sama chodzić i miałam niewydolność serca. Długi przebieg choroby, brak dostatecznej opieki i moja bezsilność w walce z osłabieniem odbiły się negatywnie na moim samopoczuciu.

Zdałam sobie sprawę, że człowiek chory i osłabiony w czasie wojny jest całkowicie bezbronny, uzależniony od innych. Z początkiem lutego przewieziono mnie dalej do Szpitala Wojskowego w Tarnopolu, gdzie stopniowo dochodziłam do zdrowia.

W takim nastroju zostałam pod koniec lutego 1920 r. wypisana ze Szpitala w Tarnopolu i otrzymałam rozkaz wyjazdu do swojej jednostki tzn. Szpitala Polowego 202.

Miejsce postoju mojego szpitala zostało zmienione. Nowy adres to Jarmolińce koło Płoskirowa - 140 km na wschód od Tarnopola. Miejscowość ta leżała niedaleko linii frontu.

Jarmolińce zrobiły na mnie dobre wrażenie, było to niewielkie miasto mające ok. 6 tys. mieszkańców. Było dobrze zagospodarowane, mające manufaktury sukiennicze, garbarnie. Znane ze sławnych jarmarków oraz z organizowanych wyścigów konnych, miasto o dużym ruchu ludności. W średniowieczu leżało na tak zwanym tatarskim szlaku kuczmańskim (według Sienkiewicza), założone na prawie magdeburskim w 1455 roku, niszczone w wojnach tatarsko-tureckich. Miasto posiadało zamek (obecnie ruina), piękny Klasztor Bernardynów (obecnie cerkiew), pałac Orłowskich słynący z wartościowej galerii obrazów. Miasto Jarmolińce do czasu wojny żyło w dostatku, obecnie zamieszkałe głównie

przez Żydów, ale również i przez Polaków, niewielka była ludność ukraińska. Wszystko to przeczytałam w przewodniku o Jarmolińcach w języku rosyjskim, stąd takie moje dobre rozeznanie o tym mieście, co potwierdziło się w czasie naszych spacerów i wypadów na zakupy.

Natomiast nieopodal położony Płoskirów to wówczas duże powiatowe miasto mające ponad 30 tysięcy mieszkańców (obecnie to ważne miasto przemysłowe Ukrainy o nazwie Chmielnicki). Oba te miasta leżały w środku Podola na skrzyżowaniu dróg bitych i kolejowych, dobrze skomunikowane z otaczającym obszarem - dlatego też ważnym również w okresie działań wojennych. Miejscowości te znajdowały się w pasie linii frontu - obsadzonej przez trzy dywizje piechoty 6. Armii- której długość wynosiła około 150 km, licząc od Płoskirowa na północy do Kamieńca Podolskiego i rzeki Dniestr na południu. Okopy i umocnienia frontu były położone na wschodzie w odległości 20 km od naszego szpitala w Jarmolińcach. Szpital Polowy 202 przeniesiony w tak newralgiczne miejsce uzyskał ważną pozycję Szpitala Frontowego, jednak w dalszym ciągu nie mieliśmy pewności, jakie obejmujemy zadania na czas wojny. Sytuacja w I kwartale 1920 roku była taka, że jednostki wojskowe przechodziły reorganizację i uzupełnienia w ludzi i sprzęt, a szpitale polowe będące w strukturze tej armii czekały na decyzję dotyczące przydziału do poszczególnych dywizji. Budynek naszego szpitala w Jarmolińcach to nieduży cywilny obiekt szpitalny, który zajęto na czas działań wojennych. Nie było potrzeby adaptacji pomieszczeń, ponieważ spełniał niezbędne wymogi. Przewieziono tylko z Płoskirowa dodatkowe łóżka i upychano je we wszystkie zakamarki tego niewielkiego obiektu. Załoga była rozlokowana w cywilnych domach w najbliższej okolicy szpitala. Zastałam szpital w pełnym ruchu, ale praca w nim różniła się znacznie od tej w Jezierzanach. Strefa przyfrontowa nakazywała zwrócenie uwagi na bezpieczeństwo. Sprzęt wojskowy zgrupowany był w bliskiej odległości, stały posterunki strzegące wejścia na teren obiektów. W szpitalu było niewielu chorych, sale stały puste jakby czekały na coś, co ma się wydarzyć. W pierwszym okresie po chorobie i przybyciu z Tarnopola odsunięto mnie od pracy przy chorych, jak również od nocnych dyżurów, ponieważ jeszcze byłam słaba. Podjęłam najpierw pracę w kancelarii, później w magazynach sprzętu medycznego i opatrunkowego. Szybko przesunięto mnie jednak na oddział wewnętrzny, a gdy wojna zaczęła być blisko na oddział chirurgiczny - zgodnie z moją specjalizacją jaką nabyłam na praktyce w lubelskim szpitalu.

W pierwszych dniach kwietnia 1920 roku szybko zapadały decyzje w naczelnym dowództwie odnośnie spraw organizacyjnych, zaopatrzenia i ruchu wojska. Szpitale Polowe otrzymały przydziały do poszczególnych dywizji 6 Armii oraz wyznaczono im miejsca i zadania na czas wojny.

W związku z tym komendant naszego szpitala mjr Henryk Krogulski na specjalnie zwoływanych odprawach poinstruował całą załogę o zadaniach stojących przed naszą jednostką. Z przekazanych nam wiadomości wynikało, że Szpital Polowy 202 w Jarmolińcach stał się na okres wojny „Stacją Zborną” rannych i chorych żołnierzy i podlegał 18 Dywizji Piechoty, którą dowodził gen. Franciszek Krajowski. Był to dobry i doświadczony oficer wywodzący się z armii austriackiej. Zadaniem naszego szpitala działającego w strukturach tej dywizji było przyjmowanie rannych ze szpitali polowych 601 i 602 operujących na bezpośrednim zapleczu pola walki.

Głównym zadaniem Szpitala Polowego 202 było udzielanie niezbędnych zabiegów ratujących życie oraz krótkotrwałe leczenie a następnie przygotowanie rannych do dalszej ewakuacji na zaplecze frontu do stacjonarnych szpitali wojskowych umiejscowionych wokół Tarnopola tj. w Czortkowie, Frydrychowie, Łubieńkach lub Kupczyńcach. Na tej odprawie nasza młoda grupa pielęgniarska bez doświadczenia frontowego miała wiele pytań, na które

z powagą i zrozumieniem odpowiadali doświadczeni na wielu frontach wojskowi lekarze, dając niekiedy przykłady własnych przeżyć i przygód. Po tych szczerych rozmowach o czekających nas obowiązkach i wyzwaniach, pomyślałam, że po prawie rocznym wspólnym pobycie w wojsku staliśmy się grupą ludzi coraz bardziej rozumiejących się, a ci dojrzały, starsi ludzie stali się dla nas nie tylko autorytetami w sprawach wojny ale i oparciem na te ciężkie czasy. Po drugie wyciągnęłam sama wnioski co może nas spotkać w czasie działań wojennych. Słuchałam uważnie przewidywań lekarzy i stwierdziłam, że gdy ruszy ofensywa i nasze wojska napotkają silny opór to rozgorzeją walki, które zapełnią szpitale rannymi i będzie dużo trudnej pracy, na którą trzeba się z góry przygotować, by nie było gorzkiego rozczarowania. Co będzie dalej trudno powiedzieć?

Nasza starszyzna szybko zorientowała się, że duże dostawy sprzętu i wcześniejsze magazynowanie łóżek wskazywało, że od początku naszego pobytu w Jarmolińcach byliśmy szykowani na frontowy szpital stały, ponieważ dobrze oceniano naszą pracę na placówce w Jezierzanach, mimo istniejących tam trudnych warunków i dużej liczbie obłożenia szpitalnego.

Gdy staliśmy się szpitalem zbornym natychmiast postawiono przed nami zadanie szybkiego powiększenia miejsc leżących, przystosowując do tego wszystkie pomieszczenia, nawet gospodarcze znajdujące się na terenie całego obiektu szpitalnego. Był to niezwykle trudny okres dla załogi szpitala, ponieważ nie otrzymaliśmy zaplanowanej pomocy z wyższego szczebla, a czas wykonania zadania był krótki.

Ponieważ szpital nasz znajdował się w pasie rozmieszczenia jednostek 6 Armii oraz na głównej drodze wzdłuż linii frontu widzieliśmy w tym czasie wzmożone ruchy wojska w postaci przemieszczania się jednostek oraz sztabów dowodzenia. Mieliśmy wizyty oficerów wyższych szczebli, między innymi gen. Krajowskiego - dowódcę naszej 18 Dywizji oraz płk Januszajtisa dowódcę sąsiedniej 12 Dywizji, który jako gość znalazł czas by się z nami i porozmawiać w gronie skromnych sióstr i prostych żołnierzy naszego szpitala. Było to dla nas dużym przeżyciem, gdyż wyczuwało się w nim człowieka życzliwego, opiekuńczego a przecież zajmował wysokie stanowisko i był oficerem owianym legendą legionową. Goszczenie i słuchanie takiego bohatera było dla nas niemałym zaszczytem. Może to dziwne, że o tym wspominam, ale chwile te zrobiły na nas duże wrażenie i pozostały w naszej pamięci na długie lata.

Miesiąc kwiecień 1920 roku był okresem pełnym napięcia, pracy i niepewności, ponieważ termin nadciągającej ofensywy był ściśle tajny i nikt nie był pewny kiedy to nastąpi. W okresie tym na linii frontu ciągle było niespokojnie, wybuchały stałe walki na różnych jego odcinkach wywoływane przez obie strony. Nierzadko dochodziło do zażartych bitew dużych jednostek wojska z użyciem artylerii co przynosiło straty ludzkie w postaci zabitych i rannych.

Wybuchające starcia na linii frontu z użyciem artylerii słyszeć było w Jarmolińcach, do których pomału zaczęliśmy się przyzwyczajać.

Jednak sama myśl, że w każdej chwili możemy znaleźć się w ogniu wojny wzbudzało w każdej z nas lęk i niepewność.

Po kilku dniach napięcia, rano 25 kwietnia 1920 roku dowiedzieliśmy się, że wojska nasze ruszyły do natarcia. Oczekiwaliśmy wielkiego grzmotu artylerii i broni strzeleckiej, jednak nic takiego nie nastąpiło. Wczesnym rankiem wojska nasze ruszyły ofensywą na całym froncie niemal w ciszy - dopiero w południe z oddali dochodził do nas niewielki pomruk dział i broni strzeleckiej.

Dopiero później dowiedzieliśmy się, że pierwsza do boju weszła 3 Armia gen. Rydza Śmigłego, a kilka godzin później weszli do walk żołnierze naszej 6 Armii gen. Iwaszkiewicza. W oczekiwaniu wiadomości z linii frontu, czas dłużył się niemiłosiernie.

Pierwsze transporty rannych i chorych przywoziły samochody w drugim dniu ofensywy. Ku naszemu zdziwieniu było tylko 7-miu rannych z pierwszych dni walk, a te przywiezione pozostałe ilości chorych to "zakaźni" pozostawieni do ewakuacji przez poszczególne pułki, które ruszyły do ofensywy. Byli to jak zwykle chorzy, głównie na tyfus i czerwonkę. Od rana do wieczora w dniu 27 kwietnia przyjęto siedmiu rannych i pięćdziesięciu ośmiu chorych zakaźnych na stan naszego szpitala. Przyjęcia transportu rannych odbywały się rutynowo na naszym oddziale chirurgicznym. Ranni byli dzieleni na ciężko i lżej poszkodowanych. Ciężko ranni byli operowani w pierwszej kolejności. Wszystkim rannym zmieniano opatrunki założone przez lekarzy szpitali polowych na pierwszej linii frontu. Ranni byli myci i otrzymywali nową bieliznę. Z tego co pamiętam z pierwszych dni wojny wszystko odbywało się sprawnie. Lekarze wytrawni w swoim rzemiośle, my sanitariuszki byłyśmy od wielu miesięcy obyte z ciężko chorymi. Dlatego znosiłyśmy ten okres pracy bez większego stresu, choć pracy nie brakowało a dyżury nocne zawsze były bezsenne. Pierwszy transport rannych pamiętam dobrze, bo to było dla mnie pierwsze zetknięcie z prawdziwą wojną, na którą czekałam z niepokojem, spodziewając się wielkiego rozlewu krwi po ciężkich walkach. Wielkiego rozlewu krwi co prawda nie było, ale i tak zobaczyłam w pierwszych dniach jak wojna jest bezlitosna, ile przynosi cierpień i okaleczeń. Rany postrzałowe u żołnierzy były podobno typowe według opinii naszych chirurgów. Były to rany ciężkie, przelotowe ramion i ud oraz dwa wypadki po wybuchu pocisku artyleryjskiego, gdzie odłamki wyrwały duże części ciała i uszkodziły kości ramienia, a drugiemu urwały kawał łydki. Ot i wszystko - będą żyli - nie zginęli! Pierwsze dni były spokojne, bo był mały dopływ rannych i chorych - wyglądało to niemal idealnie. Potem ruszyły transporty codzienne z małych potyczek jak i większych bitew. Pamiętam przyjęcie kilkunastu rannych, w tym wielu ciężko przy forsowaniu nieznannej mi rzeki. Po kilku dniach przywieźli dwie grupy rannych żołnierzy, którzy brali udział w walkach przy zdobywaniu miasta Szarogród, byli wymęczeni, w złym stanie fizycznym- w ciągu krótkiego czasu dwóch z nich zmarło.

W swojej pracy mogłyśmy obserwować zachowania rannych w tym trudnym dla nich okresie. Był wśród nich żołnierz lekko ranny z ręką na temblaku. Nie widziałam go, żeby leżał w łóżku, chodził w długiej szpitalnej koszuli przewiązanej w pasie rzemieniem i pomagał kolegom szczególnie potrzebującym. Po kilku dniach stwierdziłyśmy, że był nie do zastąpienia. Potrafił przekonać siostrę lub lekarza, że trzeba podejść do leżącego, bo coś niepokojącego dzieje się z chorym, podawał pojemniki na kał, sadzał chorych na wiadro, gdy nie mogli sami tego uczynić. Okazało się, że był to Polak z Podola, z Winnicy o którą toczyły się walki - ochotnik w wojsku Polskim, żołnierz 18 Dywizji Piechoty ranny w trzecim dniu wojny.

Był zakochany w swoim mieście i barwnie o nim opowiadał. Mówił, że Winnica to najpiękniejsze miasto Podola, mające długą historię, gdzie znajdują się zabytki kultury polskiej jak kościoły, klasztory, zamek, gdzie żyje duże skupisko Polaków. Widać było zarówno z zachowania jak i wyrażania swoich opinii, że był to prosty człowiek. Podkreślał w uniesieniu, że warto było dać życie i zdrowie, żeby doczekać, by to miasto wróciło do Polski. Pod koniec ofensywy Kijowskiej byłam - jako starsza siostra - na odprawie u komendanta szpitala, na której zasięgał opinii lekarzy dotyczącej raportu jaki miał przesłać do dowództwa 6 Armii. Lekarze wypowiedali się kolejno wnosząc swoje uwagi i opinie. Mogłam się dowiedzieć z tej dyskusji, że przyjęty system działania służby sanitarnej w 6 Armii w warunkach tej wojny działał sprawnie i zdał egzamin. Trzy szpitale jako "stacje zborne" w Płoskirowie, Jarmolińcach i Kamieńcu Podolskim wystarczyły do obsługi linii frontu obsadzonego przez trzy dywizje. Szpitale zborne sprawnie zabezpieczały odbiór rannych z pola walki, gdzie bezpośrednio pracowało 6 szpitali polowych. Odbiór chorych i

przesyłanie ich w głąb kraju oceniono dobrze, choć decyzje o ewakuacji nie zawsze były zgodne z wolą naszego szpitala.

Kampania Kijowska nie trwała długo, zaledwie pół miesiąca tj. od 25 kwietnia do 10 maja 1920 roku. Mimo, że front stanął, to walki pozycyjne nadal trwały, a linia frontu ulegała zmianie głównie na południowym skrzydle obsadzonym przez naszą 6 Armię.

Pamiętam, że wznowione zostały walki na obszarze Krzyżopola i w okolicach Hajsyna, skąd przychodziły do naszego szpitala w dalszym ciągu grupy rannych żołnierzy.

Nasze miejsce postojów nie uległo zmianie. Szpital w dalszym ciągu pozostał w Jarmolińcach, choć droga dowozu rannych znacznie się wydłużyła. Stwierdzono, że położenie szpitala zbiorczego jest wyjątkowo dobrze umiejscowione. Posiada dostateczną sieć dróg kołowych z frontu oraz wyjątkowo dobrą sieć kolejową niezbędną do ewakuacji rannych na dalsze zaplecze do szpitali stacjonarnych.

Nie odczuwało się niepokoju wiadomościami o nadchodzącej nowej wojnie, chociaż dochodziły nas słuchy, że strona sowiecka zbiera siły i szykuje swoje wojsko do uderzenia. Uznałyśmy jednak, że wojna może przyjść, ale w odległym czasie. Atmosfera po szybkiej i sprawnie przeprowadzonej ofensywie i zajęciu Kijowa była dobra. Praca w szpitalu była nieco lżejsza i pomału wracała do normy. Dwa transporty kolejowe w ciągu dwóch tygodni odebrały prawie wszystkich rannych i chorych z naszego szpitala. Uznałyśmy, że przyszedł czas na odpoczynek po trudnej i nerwowej pracy w czasie trwających walk. Nawet nie zorientowałyśmy się, że te kilkanaście dni upłynęły we względnym spokoju gdy nagle na całym froncie rozgorzały walki o silnym natężeniu. Dla naszych dziewcząt wiadomość ta była dużym zaskoczeniem i wzbudziła w nas niepokój.

W dniu 26 maja 1920 roku ruszyła na całym froncie kontrofensywa sowiecka a wraz z nią napłynęły transporty rannych żołnierzy do naszego szpitala w Jarmolińcach. Z opóźnieniem dotarły do szpitala zamówione po ofensywie polskiej dostawy lekarstw, sprzętu medycznego i jak zwykle potrzebnej stale nowej bielizny i pościeli- co przyjęto z dużą ulgą.

W ciągu niespełna 10 dni walk szpital zapełnił się rannymi, a co najgorsze- równocześnie napływało coraz więcej chorych na czerwonkę i tyfus. Powodowało to komplikacje w pracy personelu, z uwagi na konieczność izolacji chorych z powodu niebezpieczeństwa przetrzutu zakażeń. Większy dopływ rannych niż w poprzedniej kampanii wzmógł nasze zainteresowanie sytuacją na polu walki, ponieważ nikt oficjalnie nie dzielił się z nami wiadomościami, co się dzieje na froncie. Czerpałyśmy wiadomości o przebiegu walk i sytuacji w jakiej znajdują się nasze wojska tylko z przekazów rannych żołnierzy. Z opowiadań rannych dowiedziałyśmy się, że walki przybrały inny charakter niż dotychczas. Nieprzyjaciel wprowadził do natarcia większe masy wojska, a na wielu odcinkach zaczął atakować dużymi jednostkami kawalerii. Jednak z ich informacji nie wynikało nic groźnego. Twierdzili, że front trzyma się mocno, a lokalne włamania są odbijane przez nasze wojska. Wyczuwało się, że nastroje wśród rannych nie były niepokojące.

Po dwóch tygodniach toczonych walk 6. Armii i twardej obronie naszych pozycji przyszła do nas smutna wiadomość. 5 czerwca pod Samhorodkiem nastąpiło przerwanie naszej obrony na styku 6. i 3. Armii, gdzie wdarły się na tyły naszych wojsk masy Kawalerii Budionnego. Była to trudna sytuacja dla naszego wojska. Jazda sowiecka rozlała się na zapleczu frontu powodując duże niebezpieczeństwo.

12 czerwca- tydzień po tych wydarzeniach dotarła do nas tragiczna wiadomość z Berdyczowa. Kawaleria Budionnego wybiła polską załogę i wymordowała rannych i chorych oraz personel szpitala polowego nr 509. Zginęło kilkaset osób. Było to dla nas- szczególnie dla zespołu kobiecego- dużym wstrząsem. Nie boję się użyć słowa- padł na nas wielki strach. Zdałyśmy sobie sprawę, że w tej wojnie szpital stał się jednostką bezbronną, narażoną na

bezlitosną śmierć z ręki rozwścieżonego żołdactwa. Zobaczyliśmy wojnę okrutną i bezwzględną. Uświadomiłyśmy sobie, że szpital, który wpadnie w ręce wroga będzie skazany na zagładę. Nie pomogą żadne umowy, ani przyjęte zasady. Również przekonaliśmy się, że obrona ze strony własnego wojska, jak widać, nie zawsze była możliwa. Wszystkie te wiadomości o aktualnej sytuacji na froncie wyciągałyśmy od zaprzyjaźnionych z nami młodych oficerów, lekarzy - kpt Pompera i kpt Szulca. Ponieważ sytuacja nasza była coraz bardziej skomplikowana prosiłam ich osobiście, aby dzielili się wiadomościami ze mną, ponieważ uważałam, że milczenie jest nieuczciwe, w sytuacji gdy ważą się losy naszego życia. Wszyscy jesteśmy żołnierzami i wspólnie narażamy swoje życie. Zdawało mi się, że potraktowali moje życzenie poważnie. Lekarze tłumaczyli, że nie chcieli nas niepokoić i wprowadzać w zły nastrój.

Mimo załamania frontu na środkowym odcinku i wtargnięciu Jazdy Budionnego na polskie zaplecze, nasze trzy dywizje piechoty 6. Armii mocno broniły swego odcinka frontu i toczyły ciężkie walki z nacierającą XIV Armią Sowiecką. Walki powodowały, że były coraz większe ilości rannych, które niemal każdego dnia zaczęły zapełniać nasz szpital. 15 czerwca otrzymałyśmy oficjalną wiadomość, że 3. Armia gen. Rydza-Śmigłego opuściła Kijów i ewakuuje się na Zachód, staczając walki z nieprzyjacielem.

Wytworzyła się trudna sytuacja dla naszej 6. Armii, która w tym czasie pozostawała na swoich pozycjach - podczas gdy centrum oraz północna część frontu cofały się na zachód pod naporem wojsk sowieckich. W związku z tym polskie Dowództwo Frontu wydało rozkaz odwrotu na zachód naszej 6. Armii, aby wyrównać front na całej jego długości.

Po 20 czerwca zaczęły napływać ze wschodu cofające się dywizje 6. Armii i rozpoczęły obsadzanie dawnych pozycji skąd wyruszyli do operacji kijowskiej. W tej sytuacji linia frontu znalazła się w odległości 20-30 km od naszego miasta. Po niedługim czasie nadeszły siły sowieckie XIV Armii i rozpoczęły się regularne walki w naszym najbliższym otoczeniu.

Do 1 lipca na całym odcinku naszej armii od Płoskirowa do Mohylewa nad Dniestrem rozgorzały na dobre walki na odcinkach frontu bronionych przez nasze dywizje, jak również przez sprzymierzone siły ukraińskie. Mijał miesiąc jak 6. Armia toczyła walki obronne lub się cofała. Morale żołnierzy zaczęły pomału słabnąć. Droga odwrotu żołnierzy spod Kijowa na naszym odcinku wynosiła ponad 150 km, co odbiło się na kondycji fizycznej żołnierzy. Przywożeni do szpitala ranni żołnierze byli często w złym stanie psychicznym, przygnębieni niepowodzeniami i wyczerpani długimi marszami w czasie odwrotu. Dochodziły do nas słuchy o zdarzających się dezercjach, co robiło na nas przygnębiające wrażenie i powodowało zły nastrój. Rozprężenie wojska to złe prognozy na przyszłość. Trudnym zadaniem dla nas był obowiązek podnoszenia ich na duchu i stwarzanie dobrej atmosfery. Niełatwo nam było wykrzesać z siebie siły widząc stale krew, ból i okaleczenia umierających. Byłyśmy od miesięcy w kołowrocie nieszczęścia tych młodych ludzi, którym pomóc nie zawsze było można. Nasza psychika też była napięta do ostatnich granic, nie byłyśmy przecież zahartowane w bojach, a doświadczenie życiowe dziewczyn jak i moje było niewielkie. Patrząc jednak na działający mechanizm pracy całego szpitala, mogłam stwierdzić, że działamy na razie dość sprawnie - choć na naszym froncie i wokół nas nie działało się dobrze.

Po zakończeniu operacji odwrotu i ukształtowaniu obecnej linii frontu rozpoczęły się walki, które nabierały często dużego nasilenia i trwały wiele dni. Faktem było, że armia polska toczyła walki obronne i w razie konieczności musiała dokonywać odwrotu.

Ponieważ szpital nasz znalazł się na bliskim zapleczu frontu, sytuacja ta stawała się dla nas coraz bardziej niepokojąca, szczególne napięcie narastało w czasie ciężkich walk, gdy nieprzyjaciel mógł w każdej chwili dokonać przełamania frontu, wtargnąć na zaplecze i zagrozić szpitalowi zapchanemu po brzegi rannymi żołnierzami. Jednak walki trwały nadal,

a napięta sytuacja na froncie nie pozwoliła na dokonanie zmian po naszej myśli. Jednocześnie wiedzieliśmy, że w pobliskim Płoskirowie i w Jarmolińcach znajdują się duże bazy materiałowe wojsk polskich i sprzymierzonych wojsk ukraińskich, które zaczęto ewakuować drogami kolejowymi na zachód. Ponieważ szpitale polowe zabezpieczały bieżące potrzeby takie jak leczenie, odbiór i wysyłkę rannych w głąb kraju przesunięcie szpitala na dalsze zaplecze odsunięto na później.

Na początku lipca oprócz walk toczonych z dużym natężeniem na odcinku naszej 6. Armii nastąpiło uderzenie wojsk sowieckich na sąsiednim środkowym odcinku frontu, gdzie toczyła boje nowo utworzona 2. Armia pod dowództwem gen. Raszewskiego. Na jej kierunku zostały skoncentrowane główne siły I Armii Konnej Budionnego, które groziły dalszym załamaniem polskiego frontu na północ od naszych pozycji. Dowództwo Polskie zdecydowało, aby z 6. Armii wydzielić 18. Dywizję Piechoty gen. Krajowskiego, która swymi siłami udzieli pomocy 2. Armii na linii obrony rzeki Horyń.

Nasz szpital polowy 202, który działał w strukturze 18. Dywizji Piechoty został na swoich pozycjach w Jarmolińcach, natomiast dwa szpitale polowe działające dla 18. Dywizji Piechoty poszły na Zasław za dywizją. W takich to okolicznościach szpital nasz stracił kontakt z 18. Dywizją Piechoty. Odbierałyśmy dalej rannych z pozostałych naszych 12. i 13. Dywizji Piechoty i coraz częściej trafiali do nas żołnierze ukraińscy z Armii gen. Pawlenki przesuwani coraz bardziej na nasz odcinek obrony.

4 lipca rano idąc do pracy zauważyliśmy niezwykle ruch na terenie zabudowań szpitalnych. Na podwórzu przed budynkami stały wozy taborowe, na które żołnierze ładowali sprzęt medyczny, pościel i bieliznę. Wśród nich uwijali się oficerowie z administracji i kwatermistrzostwa. W budynku głównym kończył się ranny przegląd chorych z udziałem Komendanta Szpitala i grupy lekarzy. Na zewnątrz wyjeżdżały wozy pełne uzbrojonych żołnierzy w towarzystwie dwóch oficerów jadących konno. Siostry zebrano w osobnej sali, gdzie czekałyśmy na komendanta. Po chwili przyszedł komendant w gronie dwóch oficerów-lekarzy. Oświadczył, że w trybie alarmowym w dniu dzisiejszym nastąpi ewakuacja szpitala wozami w samodzielnej kolumnie. Obecnie do zadań sióstr będzie należało przygotowanie chorych do załadowania na wozy i ochrona sanitarna w czasie ewakuacji. Przed wyjazdem ranni muszą mieć zmienione opatrunki, świeżą bieliznę i nakrycia oraz zaopatrzenie w żywność i wodę. Do kierowania i nadzoru pracy sióstr zostali wyznaczeni lekarze. Z bazy magazynowej wojsk ukraińskich w Jarmolińcach szpital otrzymał 5 nowych wozów taborowych o szczelnym zamknięciu. Po południu żołnierze przyprowadzili 10 wozów konnych z woźnicami zarekwirowanymi w okolicznych wsiach oraz kilka koni luzem, w uprzężach pociągowych. Po południu wezwał mnie komendant i w krótkich słowach powiedział co się stało. Poinformował mnie, że przerwany został front między Płoskirowem a Jarmolińcami, przez który wdarły się oddziały sowieckiej konnicy na zaplecze naszych wojsk. Zadaniem wrogiej jazdy będzie atakowanie bezbronnych miast, które są niedostatecznie obsadzone przez nasze wojsko.

Aby nie powtórzył się mord szpitala taki jak w Berdyczowie, musimy pilnie opuścić miasto i ewakuować się na zachód. Poza tym w każdej chwili spodziewany jest odwrót wojsk polskich nad Zbrucz - co tym bardziej potwierdza konieczność ewakuacji szpitala. Komendant zwrócił również uwagę na zachowanie w czasie marszu oraz polecił słuchać wydawanych rozkazów. Na każdym przystanku, nawet krótkim musimy zajmować się rannymi i udzielać im pomocy. Informacje te rozkazał niezwłocznie przekazać naszym siostrom. Przygotowania do wyjazdu oraz mobilizacja ludzi i szpitala była w moich oczach niezwykle sprawna, a prace wykonywane były z wielkim zaangażowaniem przez całą załogę. Przed wyjazdem udałyśmy się do swoich pobliskich kwater, aby zabrać swoje osobiste

rzeczy-wożone w "kuferkach podróżnych" - nieco większych od cywilnych walizek, które każda posiadała na swym wojskowym wyposażeniu.

Wieczorem zaczęto wnosić rannych i chorych oraz układać na wozach wymoszczonych siennikami i pościelą. Pierwsze wozy zajęli ciężko ranni po dwóch na furze, potem za nimi lżej ranni po 4-5 osób na wozie. Dalej miały jechać wozy z zakażonymi. Kolumna ewakuacyjna miała następującą kolejność: na czele jechało konno kilku żołnierzy jako zwiad uzbrojony z przewodnikiem, potem kierownictwo szpitala i oficerowie- lekarze, następnie siostry „Czerwonego Krzyża”, potem wozy z rannymi. Dalej oficerowie administracji szpitalnej. Na końcu żołnierze na wozach taborowych z wyposażeniem szpitala. Straż tylną kolumny zamykało kilku jeźdźców składających się z uzbrojonych żołnierzy.

Wsiadając na wozy poczułyśmy ogromne zmęczenie całodzienną pracą przy załadunku na pojazdy całego szpitala. Nastrój wśród załogi był kiepski. Każdy na swój sposób oceniał ryzyko tego przedsięwzięcia. Wieczorem przy zapadającym zmroku ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy samotni w nieznane, w zasadzie bezbroni, poruszając się w obcym i wrogim nam terenie, gdzie buszowały bezkarnie podjazdy kozackie mogące przynieść nam zagładę. Czy trzeba się dziwić, że towarzyszyły nam w całej drodze strach i oczekiwanie na najgorsze. Wyjechaliśmy z miasta szosą główną na południe w kierunku na Kamieniec Podolski, ale za miastem skręciliśmy na zachód w drogę na Tarnopol, aby po krótkim czasie za torem kolejowym wjechać na polną drogę. Linia kolejowa Jarmolińce-Czortków, która często pojawiała się w zasięgu naszego wzroku miała być drogowskazem naszego posuwania się we właściwym kierunku.

W wojsku istniała zasada, podkreślana szczególnie przez dowódców w tej wojnie, że posuwające się w terenie samodzielne kolumny, a szczególnie wozy taborowe znajdujące się zwykle na tyłach wojsk, powinny w czasie napadu konnicy nieprzyjaciela przyjmować pozycje obronne, w formie koła utworzonego z pojazdów zza których podejmuje się obronę. Jadąc teraz w drodze rozmyślałam, w jaki sposób szpital idąc w kolumnie marszowej - nagle napadnięty - mógłby przyjąć pozycję obronną formując koło i walczyć mając na stanie kilkunastu żołnierzy z karabinami i oficerów uzbrojonych w broń krótką. Myśli moje czarno widziały ten scenariusz, wynik walki do przewidzenia jednoznacznie.

Drugą ważną dla mnie informacją była wiedza, jaką odległość musimy samodzielnie pokonać i ile dni zajmie nasza nagła i niespodziewana podróż. Niestety nikt konkretnie nie chciał o tym rozmawiać. Jedni oceniali tę odległość na 100 km, inni na 80 km, uznając, że w tych warunkach może to zająć 3-4 dni. Nie wyobrażałam sobie wtedy łatwego przejścia bezdrożami kolumny około 40 wozów, na których trzeba przewieźć ponad 100 osób- w tym połowa z nich to ranni i chorzy.

Z uwagi na niebezpieczeństwo pościgu komenda szpitala zrezygnowała z dróg głównych. Wybrano drogi polne i bezdroża, co poważnie utrudniało jazdę i wydłużało tempo marszu. W planie ewakuacji przyjęto zasadę omijania miasteczek i wsi, w których ludność mogła zdradzić drogi naszej ucieczki. Niestety praktyka pokazała, że nie udało się całkowicie przestrzegać tej zasady. Drogi polne również przebiegały przez wsie i małe chutory, które nie dawało się ominąć.

Po godzinie jazdy, przy gęstniejącym zmroku, ale jeszcze w poświacie zachodzącego słońca nastąpił pierwszy krótki postój. Trzeba było sprawdzić, jak przebiega podróż w poszczególnych członach kolumny. Komendant z grupą oficerów zrobili przegląd całości, siostry z lekarzami pobiegli do rannych i chorych. Na razie źle znosili podróż ciężko ranni i chorzy z silną gorączką. Ponieważ leżeli i dokuczały im wstrząsy wynikające z nierówności drogi.

Szybko ruszyliśmy w dalszą drogę. Wczesnym rankiem, gdy już jaśniało pochód zatrzymała rzeka Smotrycz. Sforsowanie jej nie mogło być z marszu z uwagi na strome zbocza. Ponad

godzinę szukali nasi zwiadowcy możliwości przejścia bez podtopień wozów. Znaleźli wreszcie bród na dużych łąkach, gdzie można było w miarę bezpiecznie przejść rzekę. Zajęło nam to dużo czasu, ale okazało się, że w ciągu 9 godzin nocnych przebyliśmy już prawie 20 km drogi. Okazało się, że za torem kolejowym w dali znajdowało się miasteczko o nazwie Gródek. Liczyliśmy szybko, ile mamy do przebycia- 60 lub 80 km drogi- żeby osiągnąć cel, który dawał nam nadzieję ocalenia. Po sforsowaniu rzeki bez odpoczynku szliśmy dalej już w pełni dnia. Po dwóch godzinach drogi doszliśmy do lasu.

Ponieważ las dawał nam osłonę poczuliśmy się w miarę bezpiecznie i komendant zarządził postój. Był to pierwszy odpoczynek po wyjściu z Jarmoliniec, po 10 godzinach ciężkiej i nieprzespanej nocy. Odpoczynek, który trwał 5 godzin, był raczej dla koni, a nie dla ludzi. Postój uspokoił trochę rannych, ale nie dał odpoczynku mnie i moim dziewczynom oraz sanitariuszom, którzy musieli doglądać chorych. Potem każdy odpoczywał na swój sposób- głównie leżąc na ziemi. Nareszcie można było trochę się zdrzemnąć i rozprostować kości. Około południa ruszyliśmy w drogę. Na nasze nieszczęście droga pogorszyła się, była pełna kolein i odcinkami podmokła. Tempo musiało być spowolnione z uwagi na troskę o konie i stan naszych różnych pojazdów zajętych do ewakuacji. W kolumnie były nie tylko wozy taborowe o dużych kołach, czy dość mocne wozy chłopskie, ale i wozy lekkie jak bryczki i inne wozy cywilne do przewozu osób. W drodze mijaliśmy biedne wsie ukraińskie, gdzie ludność przejazd nasz przyjmowała milcząco i chłodno. Jechaliśmy cały dzień do nocy, z małymi przystankami na pojenie koni. Był to morderczy pełen napięcia dzień naszej ewakuacji z uwagi na przebytą ponad 35-kilometrową drogę i bardzo złe warunki terenowe. Trzeba również wyraźnie powiedzieć, że był to najbardziej nerwowy dzień przebyty w strachu, ponieważ odbywał się na oczach tubylczej ludności wrogo nastawionej, która w razie pościgu mogła bez trudu zdradzić nasze położenie. Według rozeznania naszych wojskowych obszar ten mógł znajdować się jeszcze w zasięgu napadu nieprzyjacielskich zagonów kozackich, które wdarły się na nasze zaplecze i buszowały w terenie. Noc spędziliśmy na pastwisku nad niewielką rzeką. Dla naszego bezpieczeństwa wozy stanęły uformowane w koło. Spaliśmy na ziemi wewnątrz koła otoczeni wozami jak palisadą. Nocą nad obozowiskiem czuwały uzbrojone warty. Rano okazało się, że jesteśmy niedaleko małego miasteczka, które leżało na drodze Jarmolińce-Koryczyńce, a dalej był już Czortków. Na drodze tej do naszego celu Husiatyna nad Zbruczem pozostało około 20 km. Komendant postanowił, że wychodzimy z polnych dróg na bity trakt tej drogi, którym pod wieczór dokończymy ostatni dzień naszej tułaczki. Jazda wozami szosą, która miała różną nawierzchnię nie zawsze była wygodna dla naszych pojazdów. Źle znosili to ranni i ciężko chorzy jadący w pozycji leżącej - skarżyli się, że była to dla nich prawdziwa gehenna. Wieczorem po trzech dniach jazdy po wertepach i w nerwowym napięciu wjechaliśmy na most na Zbruczu i znaleźliśmy się w małym miasteczku Husiatynie. Noc spędziliśmy w niewielkim, skromnym, drewnianym budynku szkolnym. Wozy ulokowano na rozległym placu przy szkole. Byliśmy szczęśliwi jak nigdy dotąd, nerwy opadły-zmęczenie zważyło nas z nóg.

Rano komendant mjr Krogulski zawiadomił władze wojskowe o przybyciu naszego szpitala do Husiatyna i poprosił o pomoc w rozładunku chorych i rannych oraz o dyspozycje co do naszego ulokowania. W ciągu dwóch dni samochody sanitarne zabierały chorych i przewoziły do szpitala w Czortkowie, położonego około 60 km od naszego miejsca postoju.

11 lipca nadszedł rozkaz o przemieszczeniu naszego szpitala do niedalekich Korczyniec, gdzie pozostaliśmy do dyspozycji Dowództwa 6. Armii, która rozpoczęła odwrót nad rzekę Zbrucz. Po kilku dniach, gdy nasze dywizje zaczęły obsadzać stanowiska nad Zbruczem- przewieziono nas kolejną do Brzeżan, gdzie zajęliśmy miejscowy szpital, w którym

pospiesznie wróciliśmy do swych obowiązków przygotowując pomieszczenia do przyjęcia rannych i chorych.

Na dacie 11 lipca 1920 roku kończy się osobisty dziennik naszej Matki, w którym spisywała swoje przeżycia w czasie wojny jako sanitariuszka w szpitalu polowym 202. Nie chcąc przerywać historii jej życia na froncie- pragniemy podzielić się wiadomościami przekazanymi nam przez matkę, a dotyczącymi jej dalszych losów w ostatnim etapie wojny i szczęśliwym powrocie do domu. Jej opowieść, którą nam przekazała potwierdzają dokumenty, które załączamy do niniejszego materiału.

Druga połowa lipca 1920 roku charakteryzowała się dużym natężeniem walk na odcinku bronionym przez 6. Armię, w którym wojska sowieckie były w natarciu.

Po dwóch tygodniach walk na linii rzeki Zbrucz, Sowietci przerwali front pod Wołoczyskami, gdzie nasza 12. Dywizja Piechoty broniła tego odcinka i poniosła duże straty. Wojska polskie zmuszone zostały do dalszego odwrotu i cofnęły się na rzekę Seret.

Pod Dubnem i Brodami toczyła ciężkie walki 18. Dywizja Piechoty z Konnicą Budionnego broniąc dostępu do drogi na Lwów. Dywizja ta poniosła duże straty w ludziach i była wyczerpana długim okresem trwania walk. W miesiącu sierpniu pod silnym naciskiem nieprzyjaciela walki przeniosły się na przedpole Lwowa i przybrały na sile.

W połowie sierpnia wojska polskie musiały dokonać dalszego odwrotu na linię rzeki Strypa i tam utworzyć nową linię obrony. I Armia Konna zaatakowała od północy Lwów, uderzając na Sokal i Kamionkę Strumiłową, przekroczyła rzekę Bug i weszła na tyły polskiego frontu. Sytuacja pod Lwowem była krytyczna.

Matka często wspominała, że czas walk pod Lwowem był dla szpitala najbardziej niebezpieczny, ponieważ istniało stałe zagrożenie przerwania frontu przez Konnicę Budionnego na wielu jego odcinkach. Nieprzyjaciel dla zdobycia miasta rzucił wszystkie swoje siły, jakie wtedy posiadał. W krytycznym momencie jazda sowiecka podchodziła na odległość 50 km od granic miasta. Walki były zażarte, nie obyło się również od tragicznych wydarzeń, gdzie pod Zagórzem Kozacy wycięli szablami cały batalion ochotniczy, który otoczony walczył do ostatniego naboju.

Miasto Lwów ocalało dzięki męstwu żołnierzy 6. Armii oraz zwycięskiej Bitwie Warszawskiej, której przełom nastąpił w dniu 15 sierpnia 1920 roku.

Sowieci po klęsce pod Warszawą i po załamaniu się ich frontu musieli nagle spod Lwowa wycofać I Armię Konną Budionnego w celu ratowania swoich wojsk. Jednak ciężkie walki pod Lwowem trwały nadal do końca sierpnia.

Po zwycięstwie polskim pod Warszawą i po przeprowadzonej reorganizacji wojska w połowie września 1920 roku ruszyło spod Lwowa polskie uderzenie spychając sowieckie wojska za Zbrucz.

Nasza Matka opowiadała nam, że Szpital Polowy 202 etapami przesuwał się za dywizjami 6. Armii zajmując po drodze cywilne szpitale i pełniąc jak dawniej rolę szpitala zbornego. Nie była to łatwa praca zarówno dla szpitali na linii frontu- który się stale zmieniał- ani dla szpitala polowego 202.

Wraz z postępem polskich wojsk na wschód, drogi przekazywania rannych stale się wydłużały, co powodowało, że trzeba było zmieniać miejsca postoju, aby sprawnie organizować ruch ewakuacyjny na tyły. W takich wypadkach trzeba było związać działający szpital, przewozić go dalej na wschód i na nowo odtwarzać w miejscach wskazanych przez dowództwo. Nowy wybór miejsca lokowania szpitala jako zbornego dokonywany był z uwzględnieniem dobrych dróg dojazdowych z linii frontu i niezbędnej drogi kolejowej do przekazywania rannych i chorych na dalsze zaplecze w głąb kraju.

Praca przy dużym napływie rannych oraz ciągle zwijanie i przemieszczanie szpitala było bardzo wyczerpujące i dezorganizowały prace całej załogi, ale również codzienne życie

osobiste. Częste zmiany miejsc i życie w wagonach towarowych w czasie przewozu były męczące. Na nowym miejscu zwykle nie starczyło czasu na zabezpieczenie odpowiedniego dachu nad głową, a często nawet podstawowego wyżywienia, nie mówiąc o odpoczynku i możliwości utrzymania higieny osobistej.

Matka w swoich opowiadaniach często podkreślała, że takiego chaosu i nawału pracy nie doświadczyła na żadnym etapie tej wojny.

Po przepędzeniu wojsk bolszewickich za Zbrucz i pomyślnych rokowaniach pokojowych nastąpił koniec działań wojennych 18 października 1920 roku. Jednak szybko okazało się, że przed załogą szpitala jeszcze daleka droga do pożegnania wojny i upragnionego powrotu do rodzinnego domu.

Rozpoczęta w grudniu 1920 roku na szeroką skalę demobilizacja wojska nie objęła niektórych oddziałów 6. Armii, ponieważ musiały zostać dalej na linii frontu i stać w pełnej gotowości bojowej- z uwagi na niepewną sytuację wojskową i polityczną na Ukrainie.

Dotyczyło to również utrzymania wielu struktur armii w tym służby sanitarnej i szpitali polowych w pełnym stanie. Dopiero po pół roku od zakończenia wojny pozwolono im wrócić do domu.

Matka wspominała to bardzo wyraźnie mówiąc o rozżaleniu, jakie miało miejsce wśród żołnierzy, którzy musieli zostać dalej w warunkach polowych. Również załoga szpitala była wypalona i wyczerpana dwuletnim okresem frontowego życia, osłabiona wieloma chorobami, które dotknęły personel szpitalny w okresie wojny oraz umęczona ciężką i odpowiedzialną pracą przy rannych i chorych. Rozgoryczenie potęgował fakt nieokreślonego terminu zwolnienia z wojska. Dopiero w marcu 1921 roku, po wielu miesiącach oczekiwania przyszła wiadomość, że demobilizacja obejmie 6. Armie. Oficjalnie zwolnienie ze służby w wojsku nastąpiło w Komendanturze szpitala polowego 202 w Tarnopolu w dniu 27 marca 1921 roku.

Każda z sanitariuszek otrzymała dokument zwolnienia z wojska i wpis do legitymacji o czasie służby w okresie wojny oraz opinię na piśmie dotyczącą wykonywanej pracy. Dostały również rozkaz wyjazdu i wojskowe bilety kolejowe do Warszawy celem stawienia się w Centrali Polskiego Czerwonego Krzyża, gdzie każda z nich-jako Siostra PCK delegowana do wojska-musiała zdać sprawozdanie ze swej pracy na wojnie oraz przedstawić opinię wystawioną przez władze wojskowe. W końcu po przejściu obowiązkowych badań w Warszawie przed komisją lekarską PCK-dokonane zostały wszystkie formalności związane z odbyciem służby.

Do domu po wojnie nasza Matka wróciła 9 kwietnia 1921 roku.